

Trzech wspaniałych? Nie, tylko jeden...

---

K r z y s z t o f R o t t e r m u n d

W niewielkich odstępach czasu miałem okazję wysłuchać trzech recitali fortepianowych słowiańskich pianistów, którzy wystąpili pod koniec marca na czołowych estradach Berlina, a byli to: Vladimir Mogilevsky (25 marca w wielkiej sali Konzerthausu), Ivo Pogorelich (27 marca w tym samym miejscu) i Grigorij Sokołow (28 marca w wielkiej sali Filharmonii Berlińskiej).

Urodzony w 1970 roku w Moskwie i tam wykształcony Mogilevsky, mieszkający od roku 1995 w Niemczech (Dortmund), regularnie tu występuje. Nie należy go oczywiście mylić z ostatnim uczniem Henryka Neuhausa, znakomitym Jewgenijem Mogilevskym, a także paru innymi muzykami o tym samym nazwisku. Po raz pierwszy usłyszałem go na żywo podczas Roku Chopinowskiego 2010 i, jak pisałem w relacji podsumowującej wydarzenia berlińskie z tym związane („Ruch Muzyczny” nr 6/2011), srodze się zawiodłem. Tym razem było podobnie. Od pierwszych dźwięków czuło się w jego grze dużą niepewność, było sporo nietrafionych nut, zamazywanie pedałem trudniejszych miejsc, mała selektywność dźwięku. Zauważyłem też tendencję do przyspieszania w miejscach trudniejszych technicznie, tak, jakby pianista chciał jak najszybciej mieć za sobą owe stresujące go wyraźne momenty. I stąd cały niemal czas pojawiający się w jego grze bałagan i chaos. Artysta rozpoczął czterema *Nokturnami* (Es-dur op. 9 nr 2, f-moll op. 55 nr 1, H-dur op. 9 nr 3, c-moll op. 48 nr 1) i właśnie te utwory, z perspektywy wysłuchanego recitalu, zaliczyłbym do tzw. „względnie udanej produkcji” – bardziej adekwatne słowa nie przychodzą mi do głowy. Potem nastąpiły cztery *Walce* (a-moll op. 34 nr 2, h-moll op. 69 nr 2, cis-moll op. 64 nr 2 i As-dur op. 34 nr 1), spośród których Mogilevsky wyraźnie upodobał sobie *Walca cis-moll*, by zaprezentować go jako *Walca minutowego*. Natomiast właściwy „minutowy” *Des-dur op. 64 nr 2* pojawił się w drugiej części recitalu, w bloku z kolejnymi, pięcioma *Walcami* Chopina, wśród których znalazł się jeszcze jeden „minutowiec” – *F-dur op. 34 nr 3*. No cóż, można i tak, ale jakim kosztem, lepiej zamilknąć... Do przerwy Mogilevsky pokazał jeszcze, jak w zasadzie nie należy grać chopinowskich *Mazurków* (a-moll op. 17 nr 4, a-moll op. 67 nr 4, h-moll op. 33 nr 4, f-moll op. 68 nr 4) oraz *Poloneza fis-moll op. 44*. Jedynie „Żydek” nosił w sobie jakieś indywidualne

cechy interpretacji rosyjskiego artysty, powiedziałbym, że nawet ciekawe.

Po przerwie miałem cichą nadzieję, że może teraz będzie lepiej. Ale nic z tego, nadzieje okazały się płonne. *Souvenir de Paganini* artysta zagrał wprawdzie bardzo interesująco brzmieniowo, ale już dalej ponownie pojawiło się wiele usterek technicznych: strasznie zagonione *Walce* (f-moll op. 70 nr 2, F-dur op. 34 nr 3 tzw. „Mogilevsko-Minutowy”, As-dur op. 69 nr 1, Des-dur op. 64 nr 1 tzw. „Mogilevsko-Minutowo-Sekundowy” i Es-dur op. 18). Oczywiście materia utworów ucierpiała niemiłosiernie. Na sam koniec artysta zagrał *Andante spianato i Polonez Es-dur op. 22*. Wprawdzie w *Andante* Mogilevsky potrafił zabłysnąć wielką kulturą, wrażliwością, subtelnością i pięknym dźwiękiem, ale było to tylko krótkie przejaśnienie. W *Polonezie*, niepotrzebnie tak okropnie zagonionym, znów pojawiły się miejsca grane naprawdę fatalnie. Dwa bisy (po co?) też nie były udane. 42-letni Mogilevsky powinien już zakończyć karierę, to nie ulega dla mnie wątpliwości, i zająć się np. pedagogiką, czy nagrywaniem płyt. Może w tej dziedzinie odnosiłby sukcesy? Szczerze mówiąc nie rozumiem specyfiki i „tajemnicy” słabej gry Rosjanina. W każdym wykonanym utworze zdarzały się bowiem fragmenty (niekiedy tylko pojedyncze takty), po usłyszeniu których chciałoby się powiedzieć, że gdyby w ten sposób zagrał wszystko, koncert byłby dużym sukcesem i na długo pozostał w pamięci. A tak? Ambicje wielkie (wyśrubowany program) – rezultat marny. Bardzo mnie dziwią i zastanawiają cytowane w programach i na afiszach fragmenty entuzjastycznych recenzji. Zwolennicy teorii „spiskowo-smoleńskich” mieliby od razu gotowe wytłumaczenie... W Niemczech istnieje mocne lobby i środowisko rosyjskie, więc ono zapewne stwarza swojemu pianiście możliwości występów. Inaczej nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Jedno wiem na pewno – więcej już na jego występ nie pójdę.

O berlińskim koncercie Ivo Pogorelica z okazji Roku Chopinowskiego 2010 także pisałem w jego podsumowaniu. Artysta, z towarzyszeniem London Philharmonic Orchestra, wykonał wówczas *Koncert f-moll op. 21*, dziwacznie, jak zwykle zresztą, ale przynajmniej nienagannie technicznie. Tegoroczny recital w Berlinie rozpoczął *Sonatą b-moll op. 35* Chopina, graną z nut, jak wszystkie pozostałe utwory. Nie potrafię zaakceptować „rozchwianej” interpretacji Pogorelica, tym bardziej, że ingerował on w samo dzieło naszego geniusza. Część środkową *Marsza żałobnego* skrócił np. o połowę, nie uwzględniając powtórek! Były też pojedyncze miejsca, gdzie pojawiły się nuty, przez Chopina nie napisane. Artysta zrehabilitował się w następnym utworze, którym był *Walc „Mefisto” nr 1* F. Liszta. I tutaj byłem jego grą naprawdę zachwycony. Barwy, które wydobywał z instrumentu, były doprawdy niesamowite. To oczywiście główna zasługa samego kompozytora i zastosowanej w utworze specyficznej, nowatorskiej faktury i harmoniki. A

Pogorelich wykrzesał z Lisztowskiej materii maksimum, co czasami dawało efekty, jakby grał na fortepianie... preparowanym!

Po przerwie wykonał *Nokturn c-moll op. 48 nr 1* Chopina, niezmiernie rozwlekle, czasami jakby zastanawiając się, czy przerwać i iść do hotelu, czy jednak grać dalej. Zagrał oczywiście do końca, pozwalając sobie nawet na dość zręczną ekwilibrystkę w postaci regulacji wysokości krzesła podczas gry.

*Sonata h-moll* Liszta to dzieło wspaniałe, trochę dziwne zarazem, żeby nie powiedzieć „neurotyczne”, „chore” w jakimś sensie. Swoją interpretacją Pogorelich przedstawił bardzo indywidualną wizję artystyczną tego utworu. Znalazł tutaj dogodny pole do popisu dla swych wyszukanych i ekstrawaganckich wybryków. Ale nowatorskie walory dzieła bardzo na tym zyskały, utwierdzając przekonanie, że to kompozycja eksperymentalna. Z racji swojej dziwności (neurastenii?) nadaje się ona doskonale dla wszelkiej maści pianistów dziwaków, a nawet w jakimś sensie „dewiatów”, pod warunkiem oczywiście, że są oni w stanie podołać zawartym w dziele karkołomnym trudnościom technicznym. Pogorelich bardzo dobrze dał sobie z nimi radę. Technika to jednak nie wszystko. Jest ona przecież tylko konieczną bazą, na podstawie której artysta wykonawca powołuje, niejako wskrzesza do życia i indywidualnie kształtuje zapisane czarnymi znaczkami dzieło muzyczne. Muszę przyznać, że interpretacja Pogorelicha tego właśnie utworu całkowicie mnie przekonała.

Trzecim, tym razem naprawdę wspaniałym pianistą, okazał się 62-letni Grigorij Sokołow. Karierę rozpoczął w wieku zaledwie szesnastu lat, gdy wygrał w Moskwie Konkurs im. Czajkowskiego. Cóż można powiedzieć o grze tego geniusza klawiatury? Rozpoczął *Suitę in d* Rameau zagrana niby to zupełnie normalnie, tzn. jak Pan Bóg przykazał, w duchu epoki, a jednak od pierwszych dźwięków poruszającą do głębi słuchaczy. Interpretacja była piękna, doskonała precyzyjnie, sterylna wręcz, promieniująca ciepłem dźwięku, ni to fortepianu, ni klawesynu. Podobnie było (ale już bez barwy klawesynu) z *Sonatą a-moll KV 310* Mozarta. Po przerwie zaś zabrzmiały potężne, wirtuozowskie *Wariacje na temat Händla op. 24* Brahmsa. Im dłużej Sokołow grał, tym chciałoby się w końcu usłyszeć jakieś niedociągnięcie, obce dźwięki, nietrafiony klawisz, niewłaściwe użycie pedału, jakieś zamazanie, zachwianie rytmiczne itp. A tu nic z tych zwykłych, ludzkich przecież rzeczy, tylko absolutna precyzja w połączeniu z przemyślaną, logiczną, zmysłową, piękną interpretacją. Na koniec Sokołow wykonał *Trzy Intermezzy op. 117* Brahmsa. I chyba dopiero w drugim z nich, w banalnie prostym miejscu, usłyszałem niechcące, ledwo zauważalne muśnięcie sąsiedniego klawisza. Może Sokołow zrobił to specjalnie? Nie wiem. W

każdym razie mogłem teraz stwierdzić, że przy fortepianie nie siedzi jednak Bóg, tylko człowiek z krwi i kości. Publiczność szalała, było sporo bisów, nawet nie liczyłem. Niektórzy mówią, że jest drugim Richterm lub Horowitzem. Ja uważam, że jest na pewno pierwszym, genialnym, wspaniałym Sokołowem.